

ŚWIATŁO

TYGODNIK ILUSTROWANY LITERACKI, ARTYSTYCZNY,
~ SPOŁECZNO-POLITYCZNY, POPULARNO-NAUKOWY. ~



O twórczości proletariatu.



złowiek na wszelkich stopniach rozwoju i we wszelkich warunkach nietylko dodatnich ale i ujemnych, ujawniał potrzeby swego ducha i szukał środków dla ich zaspokojenia. Już w czasach najdawniejszych, setki i tysiące lat temu, widzimy obok prymitywnych narzędzi z kamienia lub

kości liczne przejawy twórczości duchowej człowieka.

A więc rysunki i malowidła, różnego rodzaju figurki i ozdoby wszelakie, które często podziw w nas wzbudzają swoją dokładnością i umiejętnością wykonania. Są to przejawy widoczne i trwałe, a cóż powiedzieć o tej dziedzinie twórczości duchowej, której pomników nie znamy, i po której żadnych piśmiennych ani innych śladów nie pozostało. Mamy tu na myśli bujną fantazję człowieka, która się w ciągu stuleci kształtowała pod wpływem piękna przyrody i zjawisk w niej zachodzących.

Wyrazem tej fantazji będzie religia, będą podania, legendy, baśnie i przesady różnego rodzaju. Będą przysłowia, gadki, pieśni, muzyka, a nawet mowa człowieka. O tem wszystkim, o tem, jak się ta dziedzina twórczości człowieka kształtowała, nie wiemy dokładnie, a tylko domyślamy się, dzięki żmudnej pracy uczonych i badaczy.

Rozwój ludzkości, bieg wypadków dziejowych, w pewnym momencie historycznym z otchłani mroków wydzwiga na widownię narody, jako określone jednostki zbiorowe. Od tej chwili rozpoczyna się indywidualny ich rozwój.

Pierwotne powinowactwo rasowe i kulturalne zanika w świadomości poszczególnych narodów, rodzi się natomiast poczucie odrębności, które potęguje się w miarę tego, jak się zmienia i przekształca mowa, pierwotnie wspólna, oraz pierwiastki kulturalne.

Dlaczego te odrębności powstały, oraz dlaczego pewne narody ujarzmiły inne, jest to sprawa, której w tej chwili omawiać nie będę.

Naród polski, jako zorganizowana i odrębna jednostka, na widowni dziejowej ukazuje się dopiero pod koniec X wieku. Ma on za sobą cały dorobek kulturalny wieków minionych, którego wpływy potężne i znaczenie dziś jeszcze stwierdzamy.

Naród polski, to lud, lud pracujący na roli, lud wiejski. Lud ten zachował w sobie najwięcej tradycji, najwięcej szczątków starożytnej kultury człowieka.

Stąd też twórczość ludowa t. zw. przemysł i sztuka chłopska tak wybitnie się różnią od sztuki współczesnej.

Twórczość ludowa jest wszechstronna i głęboka. O twórczości tej zapisano już całe tomy.

Dzięki obecności w niej pierwiastków archaicznych, stanowi ona przedmiot badań naukowych. Twórczość ludowa ma też swoją wysoką wartość estetyczną, że wspomnę o zdobnictwie, rzeźbie, malarstwie, wreszcie budownictwie i literaturze słownej, które każdy zna, a które nadają charakterystyczne piętno, kulturze narodowej polskiej.

Niestety, z prawdziwym bólem stwierdzamy zanik tej indywidualnej rodzinnej twórczości, zamiłowanie do swojszczyzny i poczucie piękna rzeczy własnych, wyrodnienie, pacy się pod wpływem naleciałości, — tandety obcej. Żyjemy w warunkach niezmiernie dla wszelkiej twórczości, niekorzystnych.

Hasłem dni naszych: czas to pieniądz. Wyzysk i zachłanność kapitału pozostawiają swój niszczycielski ślad.

Ludzie, goniąc za kawałkiem chleba, sprzedają całkowicie swój czas zdolności i siły. W takich warunkach nie może być mowy o twórczości. Tworzeniu oddają się nieliczni tylko.

Masy przestają tworzyć, przestają myśleć twórczo i czuć. Potrzeby estetyczne i duchowe zaspakają tandetą fabryczną różnego rodzaju, którą są zasypani przez przemysłnych kapitalistów. Dzięki temu, wieś powoli wyzbywa się bogactw swych. Ginią malowidła na skrzyniach i wreszcie same skrzynie, miejsce ich zastępują kufrы obite i pomalowane; ginie sprzęt domowy zdobiony, ustępując miejsca fabrycznym łyżkom, czerpakom, miskom, talerzom i t. p. Sam też wygląd chat zewnętrzny i wewnętrzny się zmienia: giną rzezania i okucia w piękne desenie, drzewo zastępuje cegła, strzechę eternit barwny lub też dachówka. Pająki ze słomy, ptaszki, wycinanki zostają wyparte przez różnego rodzaju tapety, względnie, nikczemnej roboty, różnego rodzaju „lansiafty“, kupione u żyda na jarmarku. Za to w izbie pojawia się cały szereg sprzętów nieznanych przedtem, jak kredensy, szafy, krzesła, gramofony, (nie mówiąc już, o niemieckiego pochodzenia, harmonijce) i t. p. Nie wspominamy już o strojach i materiałach na ubranie i bieliznę, ozdobach i t. p.

Słowem, na każdym miejscu widzimy niszczące działanie t. zw. cywilizacji współczesnej. Nie lepiej przedstawia się sprawa twórczości poetyckiej i muzyki ludu, oraz wszelkiego rodzaju opowiadań i baśni, które wypiera tandeta miejska, pochodzenia najczęściej obcego.

Tak się przedstawia twórczość ludu naszego.

Świeci się ona jeszcze temi resztkami swego dawnego dorobku, którego nie pożarł czas i niszczące działanie warunków życia współczesnego. Co dalej będzie? Raczej jeszcze gorzej niż to dziś ma miejsce.

O ile na wsi obserwujemy upadek twórczości ludu, to cóż powiedzieć możemy o tych, którzy od dawna zamieszkują miasta? Tę kulturę duchową, jaką ze sobą wieśniak przyniósł do miasta, w krótkim bardzo czasie zatracił. W mieście robotnik był, a poniekąd jeszcze jest własnością fabrykanta, któremu wszystek czas, zdrowie i siły sprzedać musiał za nędzne wynagrodzenie. Poza tem miasto, jako środowisko zgoła odmienne w znaczeniu ujemnym od wsi, nie mogło dostarczać podnieć do tworzenia, bo na to nie było ani czasu, ani możliwości wykonania pomysłu. Mając zaś poddostatkiem tandety wszelakiej miejskiej, robotnik w bardzo szybkim tempie wyzbywał się tradycji i zamiłowania do swojszczyzny, a poczucie jego estetyczne i smak wypaczały się pod wpływem otaczającej go tandety

i stawał się z czasem typem bezbarwnym człowieka miejskiego.

Oto niesłychanie ciężkie warunki, w których się znajdują od wieków masy robotnicze. Lecz tak dalej być nie może. Uświadomienie proletariatu rozszerza i pogłębia się z dniem każdym. Do zupełnego atoli zwycięstwa droga nie łatwa i daleka. Sprawa podniesienia kultury i oświaty wśród szerokich mas robotniczych, oto jedno z najważniejszych zadań, którego nie można nie doceniać. Masy robotnicze muszą wykazać, że dążą do oświaty i kultury, których brak zarzucają nam nasi przeciwnicy; muszą dowieść, że robotnikom nie jest obce umiłowanie rzeczy pięknych i wielkich, wreszcie, że oni nie są pozbawieni twórczości, którą tłumią i krepują tylko warunki kapitalistycznego ustroju. Ileż to zmarnowanych talentów kryje się wśród rzesz proletariatu, iluż genialnych badaczy, poetów, malarzy i literatów—dzieci prolet., wskutek nieznośnych warunków bytu zmarło przedwcześnie—kto to policzy?!

Dzieje cywilizacji współczesnej mają obok szeregu kłamstw i obłudy pewne jasne strony, a będą niemi nauka i sztuka. Wiedza, to potężne światło, które rozprasza ciemności, to potężna broń uciśnionych w walce z kapitałem o prawo życia i sztuka, która daje rozkosz piękna, a zarazem przenosi człowieka w świat idei, myśli, czynu, postępu i świetlanej przyszłości.

Musimy wiedzę i sztukę udostępnić dla wszystkich, muszą one stać się własnością nie tylko klasy uprzywilejowanej, jak to było dotychczas, lecz muszą być własnością całego proletariatu. Dążąc do tego celu, musimy szerzyć wszędzie wiedzę, oświatę i zamiłowanie do rzeczy pięknych. Piekłu na ziemi oraz hasłu: „módl się i pracuj“, przeciwstawić musimy radość życia, wszystkie jego duchowe rozkosze, dotychczas dostępne dla nielicznych tylko.

Okres twórczości, opartej na tradycji, na wierzeniach; twórczości, będącej wyrazem kultury pierwotnej, dawno się skończył. Dziś ludzkość i jej twórczość kroczą nowymi drogami i dlatego dziś nowe elementy spostrzegamy w twórczości współczesnej.

Dziś, gdy masy ludu pracującego wywalczyły sobie pewne prawa i względnie znośne warunki bytu, czas pomyśleć o pracy nad rozwojem intelektualnym proletariatu. Walczymy o prawo do życia i rozwoju, lecz dziś już wykazać należy, że żyjemy i że żyć chcemy pełnią całą.

Ludwik Sawicki.

go świergotu skowronka, szczekania psa, widoku równego, obsianego pola i maleńkich nikłych polnych kwiateczków, ich cichego zapachu.

Człowiek, zrodzony na szarej, zimnej północy, ugiął się pod nawałem bogactwa obcej natury. Po paru dniach podróży Jorg czuł się już chorym. Bez miary opił się cudów i upił się niemi. Mąciło mu się w głowie, nie dowierzał swoim oczom, uszom. Wszystko, co mijał, zaczęło mu się wydawać nieprawdopodobnym.

Szumiało w głowie od głosów, wrzasków, bolały oczy od krzyku barw, dusza już nie mogła dłużej chłonąć w siebie podziwu i nowości.

Zatrzymał łódź na kotwicy po środku rzeki, w szerokim miejscu dla ochrony i spokoju i przez kilka dni wypoczywał, leżąc pod swoim daszkiem. Jadł bez smaku, spał ciężko całymi dniami, a gdy się budził i spojrzał wokoło, ogarniało go przerażenie. Nie chciał nic widzieć, nie chciał w nic z tego wierzyć.

Oszukiwał sam siebie i pocieszał się, że to sen. I zasypiał znowu. Ale przez sen widział to samo.

Śnił, że czyta porywającą opowieść o fantastycznej podróży. Pochłania ją w szkole na lekcjach ukradkiem od nauczycieli, trzymając książkę na kolanach pod ławką. Dusza w nim zamiera nad cudami dalekiej wyspy, nad losami najszcześniejszego na świecie człowieka, jakiegoś rozbitka, żyjącego jak Robinson. W chłopięcej swojej wyobraźni przeżywa jego podziw i zachwyt, jego rozkoszny strach w obliczu wielkich tajemnic stworzenia. Mieszka w konarach drzewa, żywi się wspaniałymi owocami, brata się ze zwierzętami, żegluje na tratwie... Ale srogi nudziarz, stary profesor łaciny, już oddawna śledził go pilnie. Podkrada się zdradziecko jak wąż, skacze jak tygrys i łapie za cudną książkę.

Budzi się. Niema starego profesora łaciny! Ach, za karę nieposłuszeństwa i nieuwagi, czarownik przemienia go naprawdę w Robinsona i w jednej chwili przerzuca go na tajemniczą wyspę.

O dobry czarowniku, jakąż cudowną obmyśliłeś karę! Staje się tym, o którym czytał, któremu gorąco zazdrościł.

Lecz skąd ta groza i rozpacz? Skąd strach i bolesny zamęt w głowie?

Widzi w sobie uczniaka, zakłętego w Robinsona i jednakowo wyraźnie czuje się inną osobą, człkiem co przeszedł straszliwe i długie koleje życia, zanim los go rzucił na bezludną wyspę. Pamięta, że kiedyś i o tym nieszczęsnym wyrzutku czytał również długą, wzruszającą powieść. Pomieszały się ze sobą w głowie obie książki. I już nic nie wie.

Chce się obudzić. bo zbyt go męczy ciężki sen. Chce zasnąć, gdy się odważy przypościć, że to jednak może i prawda... Mąci się w głowie, mąci...

WYSPA ZAPOMNIENIA.

8)

To rozpętanie życia, nieznanne dziwy i zjawiska zrazu pochłaniały, upajały, aż wreszcie zaczynały niepokoić, dolegać i męczyć nieznośnie.

Chciało się odpoczynku i wytchnienia. Chciało się uciec od poczwarnego świata, który ciągle i coraz to bardziej stawał się dziwny i niesamowity. Gdybyż znikły bodaj na jedną chwilę wszystkie barwy, kształty, głosy!

Zapragnęło się duszy niepodobieństwa: szarej zieleni, chłodnego powiewu, szumu sosny, skromnie-

Jedno, co widzi wyraźnie, to czółno na którym leży, wodę i bujne, niesłychane drzewa na brzegu. I o kilka kroków od siebie obraz z dziecięcej bajki. Małeńkie małpiątko siedzi na gałęzi zwisającej ku wodzie i wykrzywia się do niego groźnie i nad wyraz pociesznie.

I nic już nie rozumie, lęka się i truchleje, a patrząc na zabawne zwierzątko, dusi się ze śmiechu.

Rychło jednak spłacił daninę wyziewom i oparom puszczy, które snąc pomąciły myśl i powaliły zmózonego na dno łodzi. Dźwignął się ze złej gorączki, oprzytomniał i ruszył dalej.

Puszcza zaczynała rzednąć. Zarośla odstępowały od wody, ukazywały się coraz częściej miłe dla oka równe łączki nadbrzeżne. Z trawy wystrzelały wysoko bujne rośliny na podobieństwo malw, oblepione ciężkimi kwiatami barwy płomienia. Unosiły się wokół nich roje pszczół, jak niespokojny pył.

Małały, marniały, ginęły wreszcie zarośla, pnącze, wszelkolistne krzewy, przeróżne potworki i cudaki stojące, jak na trójnogach, na rozkraczonych powietrznych korzeniach. Zanikały zbite ściany bambusów, gaje paproci. Przemijały chaos i natłok życia. Okolica stawała się spokojną, nabierała powagi, czyniła się nareszcie podobną do czegoś znajomego.

Jorg oddychał z ulgą, patrząc na porozrzućane rzadka kępy olbrzymich drzew, a między nimi wolne, rozległe polany, kędy z rozkoszą biegło oko, zmęczone wiecznym uciskiem leśnego gąszczu. Drzewa te nazywał dębami. W ich cieniu płaśały, wy-

skakując w górę, jak z wody, wdzięczne rogate antylopy. Przybiegały nad sam brzeg i szły stadkami za łodzią, rozciekawione lekkonogi, wdzięczne w każdym poruszeniu. Nastawiały pilnie uszka na to, co do nich mówił i patrzyły weń cudnemi, mądrymi oczami.

Wynurzały się z traw i stawały na brzegu, jak wryte, dziwne tameczne stworzenia—ni to psy, ni to szakale, ni to jakieś spotworniałe lisy... Dziwnie podobnie do swojskich tokowały jakieś dzikie koguty. W jasnym, a pełnym powietrzu wisiały powyżej drzew drapieżne ptaki, przelatywały tuż obok w przenikliwym poszumie skrzydeł ogromne sępy, zaciśkając w szponach zdobycz jeszcze żywą i miotającą się rozpaczliwie.

Otwierał się stąd chwilami wolny widok ku górrom. Zdawały się stąd jeszcze dalsze, niż z wybrzeża, zmienił się też znacznie ich rysunek. Szczyt, „który widzi wszystko” nie był już teraz najwyższym. Odsonił się nowy, niewidzialny dotąd łańcuch gór, a za nim we mgle oddalenia błękitniał nisko na horyzoncie jeszcze jeden. Jorg odgadywał, że były to dalsze wyspy — i postanawiał sobie zwiedzić kiedyś wszystkie co do jednej. Cieszył się, że jego królestwo jest tak rozległe, świata i nadzieja odkrycia gdzieś dalej jakichś ludzi. Była to zarazem nadzieja i obawa—pociąg i wstręt.

Tam, gdzieś w niebieskawej dali kryła się tajemnica. I Jorg wiedział, że musi ją kiedyś odsłonić.

Andrzej Strug.

(Ciąg dalszy nastąpi).



HYMN DO SŁOŃCA.

Któryś się w bezgraniczach utwierdził swą mocą
I sprawił, że przepaści uśmiechem się złocą,
Iść się w nas. My dzieci Twoje.

Któryś wysnuł ze siebie potężną baśń życia
I rozwarłeś promieniami tajemnic ukrycia
Iść się w nas. My dzieci Twoje.

Któryś się w nieskończoność ogniem-słowem włonił
I stał się dla niej prawem, pieśnią nas rozdzwonił,
Iść się w nas. My dzieci Twoje.

Gdy my poznali w sobie słońce,
wieczystem życiem gorejące
gdy zrozumielim, że my gońce

twe w nieskończoność, że my cud,
natenczas w pieśń się zmienił trud,
którym się krwawim, szary lud.

I odtąd moc królewska świeci
w kzesanych przez nas skrach stuleci,
nad nami znak: my słońca dzieci.

Bądź pochwalony
w ptaków graniu,
w zorzy czerwonej,
w burz błyskaniu,
w wichrów poszumie,
w fal morskich dumie
pochwalon bądź
i sercem rządź,
o wielki, o promienny, rozgorzały Bogu.

STROFA.

Oto jesteś. Dzień w gniewie
rozpałiłeś miedziany,
Żaru sujesz zarzewie
Tchem zabijasz zbóż łany

Idzie sina zaraza
poprzez sioła i miasta,
w zgrzycie jęku żelaza
moc jej trupia urasta.

Hen w oddali chichoce
głód i k'wioskom się zbliża...
Płacze serce sieroce,
u martwego łka krzyża.

Odpuść, w gniewie płonące,
zgaś dzień sądu miedziany,
zważ na dzieci ginące,
tu na ziemi splekanej.

ANTISTROFA.

O dzieci słońca, wy, ogniści. { ,
Równa jest miłość nienawiści,
gdy się w nich wola świata iści.

Niech się od słońca tarczy chronią,
którzy za ciepłem tylko gonią,
którym jękliwa skarga bronią.

Majestat mocy w proch obala,
czego nie ima wieków skala,
co się od woli gwiazd oddala.

I tylko wielkie utwierdzenia
w twarz słońca patrzą bez przyćmienia,
a każde w wieków pieśń się zmienia.

I tylko moc nad moce rośnie,
śmiejąc się wiecznej życia wiosnie,
promiennie, świętnie i miłośnie.

Więc co jest wielkie, jest modlitwą
gwiazd zapatrzonych w mrok przed bitwą
jest gromów w burzy czas gonitwą.

Więc co jest wielkie z cnót, czy zbrodni
to z wolą słońca się uzgodni
I w słońc tysiącach się rozplodni.

Nie płacz, że pomór wsie wytraca,
Bo to jest cudna słońca praca,
przez którą świat potędze wraca.

Miej w imię mocy chęć skonania,
wiedz, że się z gniewu grom wyłania,
który w chaosach świat rozdzwania.

N o b.



WYBIEG INSTYNKTU.



omimo tak niezrachowanej ilości zdarzeń i tak niesłychanej ich wielorakości w ciągu życia, — podświadome myślenie, ów samoswój, wewnętrzny i tajnym nurtem płynący strumień wspomnienia poprzez wszelkie dalekie czasy i rzeczy, — ileż to razy za-

daowało umysłowi pytanie:—czemuś ty wówczas tak postąpić doradził? Ogień radości bucha w piersiach, jak wtedy. Serce znowu bije, nie dzisiejsze zmiażdżone, chore, nieszczęsne, ni to badył w polu między wichrami jesieni, lecz tamto młodzieńcze, dzielne, niezwyciężone i zwycięskie, którego w istocie, zaprawdę już niema.

Pospolita i śmieszna, nic nieznacząca uczniowska przygoda stawała już tylekroć, jako iskra świetlna wśród ciemnych mgieł licznych dni, że wypada ją wreszcie uprzytomnić.

Działo się, — oczywiście, — w starym mieście Kielcach, za czasów moskiewskiego w niem rozbijania się i panoszenia. Byliśmy, — ósma klasa gimnazjalna, — pilnowani i strzeżeni, jak gromadka dziatek, którą należy trzymać nie byle jak w ryzach, żeby sobie snąc jakiego kuku nie zadała. Po godzinie ósmej wieczorem nie wolno nam było pod żadnym pozorem wychodzić z domu i „znajdować się na ulicy”. Wyjątek stanowiły eskapady nocne ze starym nauczycielem matematyki i fizyki, Gracjanem C. „na gwiazdy“, gdy, wyniósłszy na wzgórek obok cerkwi moskiewskiej jego własne lunety i przyrządy, zapalaliśmy się do astronomji. Zdarzało się, iż na owe „gwiazdy“ przed mieszkaniem zgryźliwego „Gracjana Francowicza“, czyli Z u b l a, które to miano jedno pokolenie naszej szkoły przekazywało następnemu, — delegowany w tym celu, zapaleniec w pojedynkę „zbierał się“ i reprezentował ogół, a wesoła reszta klerowała swe chyże kroki ku gwiazdom najzupełniej ziemskim i daleko bardziej dostępnym. Spotkani na ulicy o tak późnej i zakazanej godzinie przez czynniki miarodajne i szpiegujące zwalali swą karygodną obecność wśród zawilości ciemnych ulic na barki astronoma Gracjana, tłumacząc się, że właśnie zdążają pod cerkiew na obserwacje pierścieni Saturna. Wykręty takie przyjmowane były za dobrą monetę, o ile się wpadało w ręce któregoś z fafułów gimnazjalnych, normalnych belfrów, filologów czy przyrodników, którym tropienie czeladki gimnazjalnej narzucano zgóry, jako wstrętne dla nich obowiązek. Lecz był ktoś, komu najbardziej szybko nogi Achilles nigdy ująć nie zdołał, a po pojmaniu nie wysliznął się ze szponów zapomocą opowieści o „gwiazdach”.

„Pomocnik gospodarzy klas”, pan, — dajmy na to, — Smirnow, a raczej „Ryży”, wiedział doskonale, jakie każdemu z nas gwiazdy świecą, w jakim punkcie miasta, w którym domu i w którym oknie. Był to elegancki jegomość w pełni lat męskich, z rudą bródką, starannie utrzymaną, i czerwonymi włosami których uczesaniu poświęcał wiele czasu. Nosił buciki najmodniejszego fasonu, lakierowane, na wysokich obcasach, — paltocik zaprasowany i oczyszczony idealnie, — jedwabną chustkę na szyi, nieposzlakowany melonik i rękawiczki koloru s a n g - d e - b o e u f. Wszystko w nim i na nim było wytworne, lekkie, powiewne, — z wyjątkiem laski. Laskę nosił wyjątkowo grubą, krzywulę o gałce potężnej na końcu zgięcia rękojeści, z ołowiu, czy metalu. Tą to laską subtelny „Ryży” umiał manewrować w sposób niezrównany. Gdy przestępca gimnazjalny, dostrzeżony zdała wieczorem, zaczynał przed tropicielem „wiać”, jako wiatr wieje, a raczej, jak wieją młode i zdrowe nogi siedmnastoletnie, „Ryży” puszczał się za uciekającym w pogoń również, jak wiatr, na swych giętkich i cienkich kończynach, — lecz do pewnej tylko granicy. W momencie, uznanym za nieomylnie odpowiedni, znakomitym rzutem po ziemi puszczał swą krzywulę w taki sposób, że upadała między nogi drapichrusta i obalała go na ziemię. Wówczas „Ryży”, niby zwinny kot, dopadał ofiary i łagodnie ciągnął ją do protokołu, który dla kończących gimnazjum, mógł mieć następstwa fatalne, aż do unieвозмоżenia matury. „Ryży” był nad wyraz uprzejmy: kłaniał nam się do ziemi swym okrągłym melonikiem i wytwornymi ruchy światowca. Gdy czegokolwiek od niego żądano, spełniał wszystko ochotnie, w podskokach. Był szpiclem, przystawionym do nas specjalnie, to też znalazł się na nas, jak rzeczoznawca na towarze. My również przypatrzyliśmy się jemu dokładnie, przejrzelśmy go od góry do dołu i naprzestrzał. Wiedzieliśmy, jakie są jego obyczaje, manieri, narowy i amory. Spostrzegliśmy, gdzie i kiedy bywa, co robi i mówi, i mieliśmy zanotowany każdy z jego beznadziejnych uśmiechów na widok młodocianych piękności naszego starego grodu. Dziś można już nawet nie robić tajemnicy, tak przecie długo „konspirowanej”, z tego faktu, iż w pewnym ciemnym kącie Pocztowej ulicy spraliśmy rudo-fizys tak należycie i tak dokładnie, że nasz pedagog nawet nie „zrobił użytku“ z tego zamachu i nikomu się nie poskarżył. Za to miał nas wszystkich na oku, na sercu, na wątrobie i na śledzionie. Pamiętał o nas wrażliwością swych różanych policzków.

W tym czasie najbliższy mój przyjaciel, Jan Wacław M., mieszkał u pewnej zamożnej rodziny, gdzie za lekcje, czyli tak zwane „korepy”, udzielał dwu chłopcom, miał pokój i utrzymanie, — ja zaś w podobny sposób przeżywałem się u innej familji,

wzamian za ciężkie „korepy“, udzielane dwojgu nad—matołków. Mieszkania nasze mieściły się w tej samej okolicy miasta, przedzielone podmiejskimi placami, ogrodami i łąkami. Zawikłana kombinacja uliczek, przesmyków, kładek i przejazdów między wielkimi parkanami, brudna i błotnista ponad wszelkie europejskie wyobrażenie, łączyła nasze owoczesne legowiska. Dom, gdzie mieszkał Jan Waclaw, stał, a właściwie głęboko siedział w dużym i clenistym ogrodzie, otoczonym wysokimi murami. Front domu wychylał się z ogrodu na olbrzymi dziedziniec, istny plac publiczny, zastawiony wokół murywanymi składami i magazynami o ślepych oknach i kutych drzwiach. Był to jakiś niefunkcjonujący już browar, przerobiony już to na mieszkania, już na składy sklepowe. Cała ta posesja, jak wielki prostokąt, przylegała do dwu szerokich ulic, a z każdej z tych ulic prowadziła do jej wnętrza duża brama. Długa i rozłożysta ulica „Warszawska“, biegnąca wzdłuż owej posesji miała conajmniej połowę swej rozległości zajęta przez ślepe ściany składów i wysoki mur ogrodu. W jednym tylko miejscu te nieskończenie nudne, jakby florenckie, mury przerywała pierwsza z bram, prowadząca na wielki dziedziniec.

Lekcje moje popołudniowe na mieście i korepetycje wieczorne w domu kończyły się dopiero około godziny dziesiątej. O tej porze mogłem brać się do swoich własnych zadań. Dla ułatwienia sobie roboty szedłem niemal codziennie po godzinie dziesiątej wieczorem do Jana Waclawa dla odrabiania z nim razem jutrzejszych „kawałków“, albo, co się zdarzało najczęściej, dla wspólnego czytania i zapamiętania dyskusyjnego aż do późnej godziny.

Czytaliśmy co tylko gdzie było na placu, w jakiegokolwiek szafie: Wiktora Hugo i Karola Libelta, Słowackiego i Turgeniewa, Henryka Tomasza Buckle'a i Brandesa, Mickiewicza i Drapera, Quineta i Sienkiewicza. Czasami, w księżycowe noce, wykradaliśmy się przez okno i jedną z owych starych bram, chyłkiem za miasto, na przedmieście, zwane „Pocieszką“ aż na odludną szosę warszawską. Tam w pustce zupełnej, podczas cichej nocy Jan Waclaw wygłaszał monolog Nika z „Marji Stuart“, wiersz do matki, lub „Grób Agamemnona“ Słowackiego. Nik—była to główna i najbardziej imponująca rola w repertuarze Jana Waclawa. Nie była jednak jedyną. Pasowała najbardziej do jego temperamentu, upodobań, brzmienia głosu, — „grała się sama“. Jan Waclaw, prymus wieczny i kandydat do złotego medalu, wyobrażał sobie podówczas, że jest najznakomitszym na kuli ziemskiej aktorem, wielkim tragediakiem i płomiennym artystą. Nosił długie włosy, tak zakazane i karygodnie długie, iż niemało wycierpiał prześladowań od dyrektora gimnazjum Siewierjana Januarjewicza, srogiego (z wierzchu) tyrana,

a niedołęznego w gruncie rzeczy safanduly. Żadne wszakże kary, groźby i wrzaski, tupanie nogami i neronowskie nastawianie okularów na długowłosego winowajcę nie mogły skłonić Jana Waclawa do ostrzyżenia absalonowych pukłów.

Długie włosy bardziej, niż temu prymusowi, byłyby „śpiłowały“ mnie samemu, gimnazjalnemu, kielecko-miejskiemu, jednemu na powiat, a kto wie czy nie na gubernię, poecie, autorowi sławnych na całą naszą klasę i cieszących się zasłużoną poczytnością dramatów „Cola di Rienzo“, „Savonarola“, „Zbrodnia na Radostowie“ i bardzo wielu innych,—bruljonów, grubych, jak słownik Knapskiego, pełnych poematów „w dwunastu pieśniach“, liryk, „przenikliwych“ studjów, krytyk, inwektyw, polemik, filipik. Jan Waclaw mógł sobie pozwolić na długie włosy. Nic sobie nie robił z wykrzykników Siewierjana Januarjewicza:

— Juvenis! Zapowiadam, że nie zobaczysz matury, jak swoich własnych uszu...

Ja strzygłem swe kędziory, byleby choć w ten sposób zażegnawać licho. Jan Waclaw marzył o zagranju wielkiej roli.

— Raz zagrać wielką rolę i skończyć — wyło się wówczas, wyciągając ręce do wiernego współtowarzysza, księżycy, na szosie warszawskiej i powierzając temu cierpliwemu słuchaczowi skargi, inwektywy i szyderstwa ukochanych poetów z niemałym krzykiem.

Zatopiony wówczas po same uszy w Słowackim, Jan Waclaw nie przeczuwał, iż wypadnie mu zagrać „wielką rolę“ na scenie sto tysięcy razy większej, niż ją zakreślała młodzieńcza wyobraźnia, na olbrzymiej arenie Sybiru, Rosji, Francji, że to on, Nik zapamiętały z naszej wspólnej ławki, stanie się społecznym herezjarchą, wodzem tłumów, krwawym mistrzem w dziele tworzenia rewolucji proletariackiej i że wielkie rzesze nędzarzy, brodiagów, baciarów, bez domu i imienia iść będą za nim w ogień i wodę, ślepo wierząc w jego dziką „machajewszczyznę“. Ośmnaście lat serce ani wiedziało wówczas, ile ta rola kosztować będzie, gdzie poniesie i pogoni ciało człowiecze, na jakie je skaże „vincula, vulnera, exilium“, jak je z granic ojczyzny wypędzi i nękać będzie, zaiste, gorzej, niż sama krótka śmierć.

Pewnego wieczora, idąc, według zwyczaju, po godzinie dziesiątej do przyjaciela, wybrnąłem z brudnych przejść bocznych i dostałem się na szeroką, „Warszawską“ ulicę, zaopatrzoną już w wąski chodnik z betonu. Świecił księżyc, przesłaniany raz wraz przez chmury, które wiatr szybko pędził przed wspaniałą lśniąca tarczą. Minąłem całą długość ogrodowego muru i przyszedłem do pierwszej bramy, prowadzącej na wielki dziedziniec. Było to stare bramisko, wieczyście na ślepo i na glucho zawarte, dolną krawędzię swą wrośniętą w błoto i osączone

badylami trawy. Jedynie furtka była ruchomą w tej ogromnej machinie. Ale i furtka, przez nikogo nigdy nie zamykana, wisiała na swych zardzewiałych wrzeciądzach w pozycji raz obranej za właściwą i dogodną, w stanie zasłużonego spoczynku. Mijało się tę uchyloną furtkę, nie wiedząc o tem, że ona tam jest i że się poruszać może. Tego wieczora stanąłem obok niej w zdumieniu: była zamknięta. Gdy usiłowałem pchnąć ją i otworzyć, zauważyłem, że rygle klamki puściłyby może pod naporem, lecz że ktoś z drugiej strony bramy siłą podpira drzwiczki i nie puszcza. Zapytałem tamtego, czy można przejść, ale nic mi nie odpowiedział — chociaż czułem, że z tamtej strony jest człowiek. Spróbowałem jeszcze raz, drugi i trzeci otworzyć zamek z tym samym skutkiem, nie mogąc zrozumieć, co to znaczy, postanowiłem wejść na dziedziniec przez drugą bramę, z ulicy przylegającej pod prostym kątem do „Warszawskiej“. Ruszyłem szybko przed siebie. Ulica podnosiła się łagodnie ku górze, a że księżyc wypłynął był właśnie z poza chmur, widać było betonowy chodnik na całej jego przestrzeni. Spiesząc tym chodnikiem pod górę, spostrzegłem nagle „Ryżego“ Smirnowa. Szedł z pośpiechem na moje spotkanie. Domyśliłem się, że to on nie puszczał mnie przez pierwszą bramę. Chciał mnie pochwycić koniecznie „na ulicy“ o późnej porze — czy też pragnął nas obudwu z panem Wacławem przychwycić na czytaniu „zakazanych“ książek... W każdym razie zrozumiałem, że na nas obudwu w tej stronie poluje. Brama była zamknięta, mury ogrodowe niezmiernie długie i wysokie. Obliczywszy wszystko, widziałem, jak na dłoni, że nie ucieknę: dopędzi mnie, goniąc z góry na dół ulicą i schwyti przy pomocy swej lagi, którą będzie mógł puścić po równym chodniku. Miałem tylko jedno wyjście. Ponieważ „Ryży“ był jeszcze o tyle zdala, że nie mógł mnie dokładnie widzieć, gdyż księżyc szczęśliwie zakryła chmura, momentalnie przebiegłem na drugą stronę ulicy i, nie myśląc już o tem, co robię, rzuciłem się w pierwszą napotkaną bramę. Był to wybór najfatalniejszy, jaki zrobić mogłem. Tam właśnie mieścił się „zajazd“, zwany „Warszawskim“, używający zasłużenie jaknajgorszej w mieście opinji. Zawsze z okien tego parterowego hoteliku wyglądały gęby dziewczuch, uczerwienione burakiem, wyświechtane i bezczelne. Zawsze z tych okien słychać było śpiewy pijaków, ryki oficerów rosyjskich i piski dam w jaskrawych spódnicach. Hotel ów był budynkiem długim i niskim. Na tyłach swych miał wąskie podwórze, które wychodziło na ulicę dwiema bramami. Te bramy, jak na zajazd przystało, zawsze były gościnnie otwarte. W wąskie podwórze to jedną, to drugą bramą wtaczały się frachtowe żydowskie wozy, szlacheckie bryczki i chłopskie furmanki, nieświadome, zapewne, co się mieści w samym hotelu.

Wbiegłszy pędem w jedną bramę zajezdną, przemknąłem cwałem, jakby mię kto batem popędzał, przez całą długość podwórza i, dopadłszy drugiej bramy, nie wybiegłem na ulicę, lecz sekretnie wśliznąłem się za jej ogromną wrótnię. Dlaczego tak zrobiłem, nie wiem dotąd. Zaledwie się tam przyczaiłem, „Ryży“ na paluszkach wsunął się w tę bramę właśnie, za której wierzeję byłem zaczajony. Jak doświadczony kot, na palcach pomknął w głąb podwórza i znikł za załamaniem budynku hotelowego. Mignęła jego sylweta w blasku czerwonej latarni przy wejściu i znikła w ciemności długiego dziedzińca.

„Ryży“ był pewny, że mię tam właśnie uciekającego spotka i chwyci w rozkrzyżowane ramiona, że mu wpadnę w objęcia, jak ryba do saka. Tymczasem ja, ujrawszy przez szparę między murem a wrótnią, że poszedł w głąb podwórza, wysunąłem się z tej bramy na ulicę i pognałem do domu „co koń skoczy“.

Jeżeli ja zdołałem wymknąć się „Ryżemu“, wskutek mocy działania instynktownego impulsu, podświadomego natchnienia, „zapalenia duszy“, które w istocie rzeczy jest samem twórczem życia, chwilowem jasnowidzeniem celu i środków, objęciem i zmierzeniem niebezpieczeństwa, a zarazem znalezieniem sposobu ratunku i samem wykonaniem nieomyślnej obrony, — to on działał przeciwnie: wykonywał swój akt najzupełniej świadomy, podyktowany przez przebiegły i wyrachowany umysł. Nie pobiegł za mną w bramę, do której się schroniłem, lecz rzucił się do przeciwległej, wiedząc z matematyczną dokładnością na mocy znajomości tego domu i dziedzińca, że będę cwałem zmykał do tamtej bramy i wobec tego muszę się z nim spotkać. Jakiż miał świetny pomysł! Byłby mię o późnej godzinie pojmał w hoteliku „Warszawskim“, na dziedzińcu instytucji, którą za Herodotem nazywaliśmy w naszej gwarze „to òjkema“. — Byłby mię miał w rękę w takim domu, a mszcząc się za wszystko i za wszystkich na mnie, zgubiłby mię był bezlitośnie i bezpowrotnie. Nie tylko przepadłaby matura, ale zwichnęłoby się całe życie. Jakże bowiem byłbym wytłomaczył swoją obecność w nocy na tamtem podwórzu? Co tam robiłem? Dokąd szedłem? Po co tam wlażłem? Ktoby uwierzył w jakiegokolwiek wyjaśnienie? „Ryży“ znał się doskonale na rozkładzie tej posesji, bo to nie my, lecz on właśnie w dobranem towarzystwie współrodaków tam bywał. Działał tedy na pewniaka.

Nie schwytawszy mię na podwórzu, nie znalazłszy nigdzie w zakamarkach tej budy, otoczonej ze wszech stron wysokimi parkanami, musiał zapewne, przeszukać i samo rozkoszne wnętrze hoteliku.

Tymczasem ja, przycwałowawszy do siebie, co tchu zapaliłem lampę i zasiadłem do lekcji. Z nosem, utopionym w podręcznikach i kajetach, nasłu-

chiwałem. Okno mej izby, — a właściwie odcinka spiżarni, przedzielonego cienkimi deskami od tego zbiorowiska wędlin, serów i szczurów, — wychodziło na obszerne, puste place, zastawione tam i sam lichymi domami przedmieścia. Dolne jego ramy tkwiły tuż nad samą ziemią. Gdy upłynęło jakie pół godziny od mego powrotu do domu, usłyszałem w ciszy nocnej kroki. Przyuczone do ciszy i odgłosów tamecznych stapań ludzkich, moje ucho odróżniło każde z obcych po zmarzniętej ziemi. „Ryży” podpatrywał mię. Zachodził to z jednej, to z drugiej strony, zaglądał z jednego i drugiego boku. Siedziałem przy stoliku, pozornie zapracowany, zaczytany w mych książkach, czując szpiega za ścianą całym jestestwem. Wreszcie zobaczyłem go z pod oka, gdy mijał plac na palcach, w oddali.

Nazajutrz rano szedłem do klasy, zapięty na wszystkie guziki i obarczony książkami w sposób prawidłowy.

„Ryży”, defilujący po naszym szkolnym korytarzu, co należało do jego codziennych obowiązków, przywitał mię miłym uśmiechem. Na mój ukłon odpowiedział najwdzięczniejszym pochyleniem giętkiego korpusu. A gdym go już wymijał, szepnął zcicha, przymykając oczy z mniemanym zachwytem:

— Mołodiec!

Zdziwiony nadzwyczajnie, zapytałem, co znaczy ta jego pochwała, „Ryży” pokiwał uczesaną główką i wykonał palcami nieokreślony, zagadkowy ruch w powietrzu. Uśmiech jego nie był w owej chwili przyjemny.

„Mołodiec” — a więc zuch, chwat... Któż wie, komu się w istocie należy ten pochwalny epitet z racji wybiegu. Ja go spletałem w praktyce naszemu układowemu pedagogowi, ale do wykonania podała go jakaś siła nie moja, niemal zewnętrzna, niczem ręka niewidzialna, popychająca i władcza.

Stefan Żeromski.

NA MARGINESIE CHWILI.

7. *)

Walka jest najbardziej podstawową cechą bytu człowieka. Była nią, jest i będzie. Zmieniają się jej formy wraz z rozszerzaniem podstaw gospodarczych bytu, rozgałęzieniem i złożonością stosunków międzyludzkich, wreszcie, doświadczeniem dziejowym i wiedzą, lecz istota jej, jako łamanie, naginanie i kształtowanie „matki” przyrody do potrzeb człowieka, pozostaje wieczna, niezmienna. Ludzkość, aby żyć, musi walczyć. Praca wytwórcza — to wyteżona i zorganizowana walka z żywiołem. Lecz walka z żywiołem, choć stanowi najbardziej istotną i celową treść zmagania się życiowego człowieka, nie wypełnia go całkowicie.

*) Początek w zeszycie 6-ym.

Piotr Kropotkin w swej pięknej książce „Pomoc wzajemna, jako czynnik rozwoju” starał się wykazać, jak bardzo wydatne znaczenie w dziejach ludzkości odgrywało spółdzielanie, jak ważną rolę w zmaganiu się dziejowym człowieka i kształtowaniu stosunków międzyludzkich miały klany, spółnoty wiejskie, gildje i grody średniowiecza, a w czasach nowszych mają gminy wiejskie i miejskie, zrzeszenia i związki zawodowe, kooperatywy. W epoce kapitalizmu i ideologii mieszczańskiej, głoszącej zasadę bezwzględnej walki o byt człowieka z człowiekiem, pokazanie odwrotnej strony medalu, wykazanie, że obok czynników odśrodkowych istniały zawsze i istnieją czynniki dośrodkowe, całkujące, które stanowią warunek niezbędny rozwoju, jest wielką zasługą Kropotkina. Pracę jego powinien znać każdy proletariusz. Uznając przecież konieczność i znaczenie spółdzielania człowieka z człowiekiem, nie można zamykać oczów na fakt walki każdego człowieka, jako jednostki, o peryferje bytu wśród otoczenia. Jednostka ludzka walczy nie tylko o podstawy ekonomiczne swego bytu, swe stanowisko społeczne, lecz i o możliwie najpełniejsze uwypuklenie swego „ja”, wyzwolenie się. To też, z natury rzeczy, walka ta w miarę rozwoju ludzkości i rozszerzania się podstaw jej bytu nie zanika, lecz staje się coraz bardziej wzmożoną, intensywną. Teoria i praktyka walki klas, sformułowane i przeprowadzane przez socjalistów, to tylko próba unormowania tej walki i stworzenia podstaw dla walki celowej i zorganizowanej klasy najmitów. A owocem ich bezpośrednim jest hasło solidarności klasowej, najdalej idącego spółdzielania. Walka i spółdzielanie, jak widzimy, wiążą się i spletają w dziejach ludzkości, jak przyczyna i skutek. Walka społeczna i spółdzielanie społeczne będą istnieć w przyszłych ustrojach gospodarczych tak samo, jak istnieją w obecnym i istniały w poprzednich.

8.

Beznadziejne — w sensie wysiłku wpłynięcia na wypadki dziejowe — są ponawiane jeszcze raz przez inteligencję polską próby tworzenia partji demokratycznej. W dobie zaostrenia się niepomiernego antagonizmów i przeciwieństw klasowych, masowych odruchów i psychologii masowej — poczynania drobnej garstki inteligencji kupienia się i odgradzania politycznego od zwalczających się na śmierć obozów mogą mieć tylko i będą mieć skutki, wręcz przeciwne założeniom „ratowników” nawy odradzającego się „państwa”.

Inteligencję razi chamstwo, brutalność walki; boi się ona o „wartości kulturalne”, nie chce brać udziału w orgji „łupiestwa klasowego”, gardzi tanią demagogją. Trzyma się na uboczu, a przecież... roi o laurach sukcesów politycznych. Sądzi, że osłabi napór zwalczających się obozów, że stworzy pośrodku tamę bezpieczeństwa. Ma na ustach wiecznie: państwo, dla państwa, o państwie, a zapomina, że okres państw, opierających swą siłę na biurokracji i armji, mija bezpowrotnie, że ma do czynienia z rzeczą pospolitą, a ta ostatnia może istnieć i rozwijać się tylko wtedy i o tyle, gdy i o ile będzie istotnie rzeczą pospolitą dla wszystkich obywateli — nie tylko zewnętrznie, lecz przede wszystkim wewnętrznie. Spawać i przepajać te masy duchem obywatelskim pod zewnątrz, to próżny trud; ustępować

z szeregów, zwalczających się dla zażegnania katastrofy — to nieporozumienie tragiczne.

Oto z dwóch gór wysokich, obramiających dolinę głęboką, spadają ze stron przeciwnych dwa potoki i grożą jej zniszczeniem. Łożyska potoków pełne są głazów skalnych, kamieni i żwiru, które osłabiają siłę spadku. A tymczasem pomysłowi „ratownicy“ doliny, miast przekopać koryto odpowiednie w dolinie i odprowadzić wody potoków, usuwają ze zboczy gór tamujące bieg potoków kamienie i głazy, pewni, że tym sposobem zażegnają katastrofę. Nie rozumieją szaleńcy, że tym sposobem potęgują napór żywiołu, którego już żadna tama sztuczna zahamować, ani żadne koryto ująć nie będą w stanie.

9.

Dyktatura klasowa — to tylko forma bytu, a nie jego treść.

O treści bytu stanowią potrzeby ludzkości i zdolność ich zaspokojenia.

Dyktaturę sprawować może tylko klasa, która ogarnia potrzeby ludzkości w danej epoce dziejowej i jest dojrzała do należytego zorganizowania i pokierowania siłą społeczną w kierunku najbardziej celowego wytwarzania dóbr oraz zaspokojenia minimum potrzeb społecznych większości.

10.

Najbardziej ujemną stroną życia miejskiego dla jednostki ludzkiej jest niemożność wprost fizyczna pozostawania ze sobą samym, trudność przemyslenia krytycznego wrażeń zewnętrznych, zgłębienia i chałas, a stąd brak rozwagi i skupienia, lekkomyślność i płytkość.

Najbardziej ujemną stroną życia wiejskiego natomiast jest monotoność, brak nowych wrażeń i pobudzających umysł wrażeń zewnętrznych, jałowa często samotność, a stąd pewna ospałość, małostkowość i egoizm.

Człowiek wsi i człowiek miasta — bez względu na przynależność klasową — to dwa różne typy psychologiczne. Dopiero spóżyte ich wytwarza pewną harmonję i dopiero zbliżenie typu skupień miejskich do wsi, a tych ostatnich — do miast może stworzyć warunki, sprzyjające wyrobieniu się typów ludzkich fizycznie i duchowo zrównoważonych, silnych czynem, a myślą głębokich.

11.

Niema nic bardziej szkodliwego dla rozwoju wszechstronnego człowieka, jak dogmat, jak pewnik, którego sprawdzić nie można.

Człowiek dużo nie wie. Człowiek, im więcej wie, tem więcej nie wie. Człowiek, im bardziej przez wiedzę rozszerza swój horyzont myślowy, tem jaśniej przekonywa się, że ilość pytań, które pozostają bez odpowiedzi po dzień dzisiejszy jest wielka. I to pobudza jego pracę umysłową, skłania do coraz nowych wysiłków i doświadczeń. Lecz człowiek, który nie wie, a miast zdobywać wciąż wiedzę przez doświadczenia, przyjmuje jakikolwiek dogmat, pewnik, niesprawdzony i sprawdzić się niedający, to albo głupiec, myśleć niezdolny, albo tchórz, który myśleć się boi. Staje się on i stać musi pastwą albo szar-

latanów, którzy wyszukają jego ciemnotę, choćby był najbardziej mężnym, albo — śmiałków, którzy wyszukają jego tchórzostwo, choćby był naszpikowany wiedzą.

Bronisław Siwik.

O SZTUCE LUDOWEJ.



jednym z poprzednich zeszytów „Światła” umieściliśmy list otwarty, uzasadniający potrzebę wydania monografii góralskiego malarstwa na szkło. Wydaje się, że C. W. K., do którego list był zwrócony, nie będzie mógł obecnie wydawnictwa tego podjąć. Sprawa ta nadaje się bardzo, według naszego zdania, aby Ministerjum Sztuki i Kultury zechciało ją przychylnie rozważyć i wydawnictwo to poprzeć.

Zarówno kruchość materiału, na którym obrazki te są malowane, jak i nietrwałość farb klejowych, które są one robione, a odstających już na wielu obrazach i odpadających z krzywdą bezpowrotną dla dzieła, skłaniać by powinny do pośpiechu w tej sprawie.



Wartość zaś artystyczna tych dzieł jest ogromna. W „Świetle” reprodukuje się już drugi taki obrazek. Pierwszy to był Janosik z towarzyszącymi. Obecnie dajemy Świętą Annę, uczącą czytać dzieciątko Marję. Hokusajowska wirtuozeria i śmiałość ruchu

w zarysowaniu linii, układ całości, wdzięku pełen i malowniczości, śliczne rozłożenie plam barwnych i tonów, szczególniejszy wyraz białych smug na postaciach i ornamentacji odznaczają ten niezwykły obraz.

Dzieło poświęcone tym obrazom możliwie wyczerpujące, wydane na dobrym papierze — byłoby prawdziwym objawieniem zarówno dla szerokich mas ludu pracującego, który tego swego dzieciństwa zupełnie nie zna, byłoby ono objawieniem dla artystów Polski i całego kulturalnego świata.

Przed kilkunastu już laty Towarzystwo „Sztuka Podhalańska”, którego byłem członkiem, robiło sta-

rania o podjęcie tego wydawnictwa. Niestety, bez skutku. Wiele różnych względów usprawiedliwić mogło opieszałość i obawy strat wówczas. Teraz zwlekać z tą sprawą nie należałoby, gdyż każdy dzień może być fatalny dla tych zbiorów, tak bardzo kruchych, łamliwych i wogóle nietrwałych.

Gorący apel zwraca więc „Światło” do Ministerjum Sztuki i Kultury, żeby zechciało tę sprawę rozpatrzyć i poprzeć. „Światło” chętnie podjęłoby się układu całości, opracowania całej rzeczy pod względem literackim i artystycznym. Idzie tylko o pokonanie trudności finansowych, w których pomoc dać może Ministerjum.

J. R.



BOLESŁAW BIEGAS.

Ze wsi polskiej, z ludu polskiego wyszedł niezmiernie oryginalny twórca — Bolesław Biegas. Jako młody chłopak został przez chętnych do pomocy ludzi ze wsi wydobyty i oddany na naukę do snycerza. Potem dostaje się do Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. W tym czasie Biegas tworzy cały szereg dzieł, które mają charakter straszliwych, zmostrastych zjaw, na których kłębią się głowy, szarpane niezmiernymi cierpieniami, jakieś twarze naznaczone męką, bólem, jakieś wyjące i ryczące maski, niby wydobyte z otchłani, napełnionej katuszami: głowy żalu, płaczu, wściekłości i męki wgrzające się sobie w palce i palcami wylupujące sobie oczy — straszliwe czaszki, z których wypełzają glisty, postaci rwące się ku górze i ściągane licznymi, chwytającymi je zewsząd wrogami dłońmi. Prócz tych zmor budzących grozę swym wyrazem stworzył Biegas inne, spokojne wizje, oddające ideje filozoficzne lub religijne.

W rzeźbach tych, bardzo oryginalnych, Biegas ścina ostro kanty płaszczyzn, ogranicza swe postaci wielkimi prostymi linjami i buduje rzeźbę w niektórych częściach równymi płaszczyznami. Jest on więc istotnym inicjatorem kubizmu — twórcą oczywiście działającym spontanicznie, pod wpływem wizji, który ani nie uczynił z tych form stworzonych przez siebie zasady stałej do swej twórczości, ani nie przeprowadził konsekwentnie tej zasady w dziele częściowo kubistycznie budowanym.

Niemniej, od Biegasa zapewne, który w Paryżu zrobił duże wrażenie i zyskał rozgłos wielki, wyszedł impuls poszukiwań w tym kierunku, który sam Biegas zarzucił zupełnie, pod wpływem arcydzieł rzeźbiarskich, z którymi się w Paryżu zapoznał.

Dzisiaj dajemy czytelnikom szkic Biegasa, przedstawiający skrzydlatą, rwącą się ku wyżynom postać, zatytułowaną „Przyszłość“.

J. R.

O SZTUCE.

(Zeszyty 10—11 i 12—13).

Dzieci! ojczyzny, w bój, kto żyje,
Dzisiaj nam wschodzi dzień sławy,
Wrogów tyranja w nas bije
Lecz sztandar nasz wznosił się już krwawyl

Do broni słyszcie zew!!
Spieszcie w bojowe drogi!
Nlech wraza, nleczysta krew
Użyjni pól naszych rozlogi!! —

Tę pieśń, której pierwszą zwrotkę tu dajemy w przekładzie, ową sławną „Marsyljanke“ przez usta jednego człowieka, oficera armii rewolucyjnej, wydarła z siebie wyzwolona z jarzma feudalnego Francja, gdy, będąc w stanie przebudowy całego społeczeństwa, musiała stanąć do walki z koalicją wrogich mocarstw. Lud Francuski, który wywiesił na swych sztandarach hasła szczytne: „Wszyscy wolni ludzie są sobie braćmi“, nie tylko odparł najazd obcy, lecz jeszcze poniósł ideję wolności, równości i braterstwa do innych uciśnionych przez przemoc obcą ludów. Dajemy dzisiaj reprodukcję rzeźby, któ-

rej treścią jest poryw bohaterski ludu dla obrony swej niepodległości, swej wolności i niezależności zarówno jak dla obrony wywalczonych przez siebie demokratycznych praw do rozwoju i budowania nowego doskonałego życia. A rzeźba ta, w której znalazł tak potężny wyraz: „Wymarsz“, (taki jest tytuł dzieła nadany mu przez autora, lud Paryża nazwał je Marsyljanke) szeregów ludowych dla obrony granic od najazdu — to dzieło porywające. Jest to wypukło-rzeźba. Na dolnej jej części idą bohaterowie w bój. Najpotężniejsze z nich są dwie postaci środkowe. Są one główną treścią duchową dalszej części dzieła i ruchu jego ośrodkiem. Inne postaci są jak gdyby ruchu tego wzbogaceniem, urozmaiceniem lecz zahamowaniem. Idą, prą naprzód, potężni, śmiali, dumni i bohaterscy — dwóch ludzi: dojrzały mąż i otoczony przez niego ramieniem, młody cudny chłopak — ów chłopiec, zwracający głowę do swego starszego towarzysza, który spogląda z mocą na malca i ukazuje mu dłonią cel wyprawy, wyraża całą swą dzieciinną postacią, że wierności sprawie ślubuje i że oddać jej gotów wszystkie swe siły. Ponad idącymi dołem wojownikami unosi się o szaleńczym pędzie postać bogini wojny, wzywająca lud do obrony zagrożonej ojczyzny.

„Oto skamieniała „Marsyljanke“.

„Gdy w muzeum Dijonńskim przyjrzymy się gipsowemu modelowi tej głowy, modelowi ogromnych rozmiarów, bo kompozycja wysoko rzucona wymagała postaci nadnaturalnej wielkości, to wprost przerażenie nas chwyta, taką jest siła wyrazu. Ten krzyk nie wrywa się z jednej piersi, to potężny krzyk ludu całego, co powstał, to tysiącami pierściami śpiewana pieśń, na dźwięki której królowie bledli, a trony drżały. Bas relief (Płaskorzeźba) Rude'a, nie jest anegdotą ale syntezą ducha Rewolucji. Gdy zaś do szczegółów przejdziemy, to uderzy nas zadziwiający ich realizm, którego nie przysłuszyła umyślna dekoracyjność kompozycji.

Widzimy, że tych wojaków Rude musiał znać nim ich wykuł, wiemy, że do postaci kobiecej pozowała mu jego żona, wiemy, że podczas tych póz mąż wciąż nalegał: „Krzycz głośniej, głośniej jeszcze“. I nie tylko tym realizmem środków zastosowanym w dziele symbolistycznym swym duchem odznacza się bas relief Rude'a, nowym jest on jeszcze przez szalony ruch nadany wszystkim postaciom, nowym przez krzyk“ (Czesław Poznański, Rzeźba Francuska).

Wspaniałe to dzieło — to płaskorzeźba na łuku tryumfalnym w Paryżu, wykonana przez Franciszka Rude, rzeźbiarza francuskiego, działającego w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku.

W poprzednim zeszycie „Światła“ podaliśmy reprodukcję innego „Wymarszu“ — Górnicy — Meuniera. W rzeźbie Rude'a widzimy lud, przedstawiony w chwili górnego zapału wyruszania dla obrony kraju od zewnętrznego wroga. Na tamtej zaś reprodukcji widzimy robotników, idących rankiem do pracy. Tu treścią zapału wyjątkowej ofiary, tam znakomicie przedstawiona jest droga twarda powszedniego dnia pracy. Ten pochód robotników wyraża podanie się konieczności pracy, której powagę i doniosłość się rozumie, lecz której ciężar, często nadmierny, zgina barki ku ziemi i groźną zadumą zasnuwa czoło. Ludzie ci, to górnicy.

Konstanty Meunier, twórca tej rzeźby, umiał osnuć szczególną melancholją tych idących pod ziemię ludzi.

Umiał im nadać wyraz zadumy, smutku i żalu, że opuszczają na wiele godzin światło dzienne, by wziąć na siebie część utrzymania życia tak niezmiernie dla ogółu ważną, lecz tak twardą i uciążliwą.

Konstanty Meunier, malarz i rzeźbiarz belgijski, na początku swego zawodu artystycznego rzeźbił — w roku 25 życia porzucił rzeźbę, oddając się wyłącznie malarstwu; — dopiero w późniejszych latach, bo już po pięćdziesiątym roku życia wrócił do rzeźby i wtedy stworzył cały szereg potężnych posągów, do których natchnęli go robotnicy.

Te jego rzeźby—to prace pełne powagi i mocy. Ucieleśnia on w nich piękno nowe—piękno zjawisk, których w tej potędze i kształcie nie wcielił przed nim nikt. Zachwyciła go praca w jej rozmaitych przejawach. Wdarł się on do wnętrza fabryk i kopalń i znalazłszy tam modele dla swych potężnych wizji, dał nam w całym szeregu posągów zastęp rycerzy pracy: twardych, spokojnych, mocnych, lecz w spokoju swym tajemniczo-groźnych.

Trzeci obraz tu omawiany, reprodukowany w majowym zeszycie „Światła“ dla uczczenia święta robotniczego, wybraliśmy z dzieł, które pracy są poświęcone. Jest to „Drwal“ Ferdynanda Hodlera—

współczesnego malarza szwajcarskiego. Na tym obrazie przedstawiony jest robotnik, który, bez zwierzchniego odzienia, w koszuli tylko z odwiniętymi rękawami, z pod których wyłoniły się mocne, muskularne dłonie, ogarnięty, porwany jest, zda się, namiętym szalem pracy. W ruchu gwałtownym, łączącym w sobie lotne uniesienie wzniosłej górnej połowy ciała i mocne wrośnięcie, wrycie się szeroko rozstawionymi nogami w ziemię, zamachuje się robotnik — drwal—siekierą na poddane jego woli, już nadrąbane, drzewo. Najwyższe napięcie sił, namiętne, zaciekle oddanie się dziełu, przytem potężne tętno ruchu powodującego zmianę w życiu, ruchu, który sam będąc zrodzon z wysiłku, staje się źródłem powstania nowych twórczych mocy—tkwi w tym obrazie. Niegdyś, zwiedzając wystawę międzynarodową w Rzymie, wśród powodzi rzeczy dobrych, miłych i ładnych, nagle uderzony zostałem wściekłą, szaleńczą siłą tego dzieła. Jest to obraz duży, postać drwala jest nieco mniejsza niż naturalnej wielkości, kontury zarysowane są mocno. W kolorach obraz ten jest surowy i twardy. Działa on przedewszystkiem wspaniale narysowaną w ruchu postacią. Po stać ta, na jasnym tle ciemno zarysowana i wypełniająca sobą cały pierwszy plan obrazu, sprawia wrażenie jakowegoś tytana, zmagającego się z siłami przyrody.



Święto Majowe.

Majowe święto proletariatu—święto pracy i walki o wyzwolenie człowieka — wypadło w tym roku wspaniale. We wszystkich miastach i miasteczkach Polski, a nawet w wielu wsiach i folwarkach, wyszły masy ludu pracującego, by pod swym znakiem bojowym manifestować niezłomną wolę walki o sprawiedliwość i wolność.

W WARSZAWIE. Od wczesnego rana przed lokalami partyjnemi, związkami zawodowemi i fabrykami, zbierały się grupy robotników, by wyruszyć w pochodzie na Plac Teatralny.

Rozwinięto czerwone, lśniące w słońcu sztandary i uliczkami przedmieść popłynęły do centrum miasta zwarte fale proletariuszy.

W południe morze głów zalało plac, który przed kilkunastu laty watahy kozaków i „lejbguardystów“ obficie skropiły krwią bezbronno go tłumu.

Tow. Perl, Barlicki, Neubauer, Jaworowski, Wencel, Piłacki, Zaremba i inni gorącemi słowy witali tę uzewnętrzną potęgę klasy robotniczej.

Słowa zapалу i entuzjazmu padały w tłum proletariuszy, zagrzewając wątpiących, budząc wiarę i pewnością spełnienia wielkiego posłannictwa klasy robotniczej.

Tow. Hankiewicz (ukrainiec) i Renaudel (francuz), podkreślali świętość idei braterstwa ludów i międzynarodowej solidarności proletariatu.

Po wiecu na Placu Teatralnym w zwartym szyku ruszył pochód przez główne ulice Warszawy. Orkiestry robotnicze dźwiękami pieśni rewolucyjnych budzą we wszystkich sercach dziwnie radosny nastrój. Czerwone sztandary jak maki rozkwitłe, pokrywają ulicę, ginąc hen, w oddali.

Po rozwiązaniu pochodu, wieczorem w różnych lokalach organizacje robotnicze urządziły specjalne podniosłe akademje, poświęcone świętu majowemu.

Niezatartem wspomnieniem pozostanie dla wszystkich uczestników święto majowe bieżącego roku!



Dr. Feliks Perl, poseł do Sejmu, redaktor „Robotnika“, przemawiający na wiecu na Placu Teatralnym.



Wiec na Placu Teatralnym. Zebrane tłumy robotników wysłuchują przemówień mówców z trybuny środkowej i lewej. Fot. M. Fuks.



Wiec na Placu Teatralnym. W głębi trzećla (prawa) trybuna.

Fot. M. Fuks.



M. Hankiewicz, przywódca socjalistów ukraińskich, serdeczny przyjaciel P.P.S., autor książki o Niepodległości Polski, przemawiający na Pl. Teatralnym.

Uroczystości majowe w Warszawie.

Prócz wiecu i pochodu manifestacyjnego, robotnicy warszawscy całym szeregiem uroczystych zebrań święcili ten dzień majowego święta.

Akademja w Filharmonji. Kulminacyjnym punktem obchodu majowego w Warszawie była uroczysta akademja, jaka odbyła się po południu w sali Filharmonji. Wród zgromadzonej tłumnie publiczności panował nastrój niezwykle podniosły i radosny. Akademję rozpoczęło uroczyste powitanie, wygłoszone przez tow. Jaworowskiego i potężne dźwięki „Marsyljanki“, odegranej przez orkiestrę Filharmonji pod dyrekcją Z. Birnbaum. Entuzjastycznie oklaskiwane były wszystkie numery programu: doskonale przemówienia t. t. Barlickiego, Hankiewicza (który w pięknych słowach podkreślił doniosłość obecnego momentu dziejowego, gdy likwidu-

je się dzieło caratu i wolne ludy powstają na jego gruzach, a także podkreślił znaczenie Manifestu Piłsudskiego, gwarantującego niepodległość Ukrainie), Perla oraz Renaudela, przemawiającego w imieniu socjalistów francuskich; a także prześlicznie wykonana część koncertowa, na którą złożyły się popisy artystów: tow. Dygasa, tow. Ostrowskiego, p. Freszla, panny Hohendlingerówny i innych.

A gdy na zakończenie ze wszystkich piersi buchnęły dźwięki „Czerwonego Sztandaru“, w takt których poruszyły się na trybunie sztandary P. P. S., oraz org. zawodowych i współdzielczych — jak gdyby naprawdę „płynęły one ponad trony“ — odczuć



Czoło pochodu na Nowym Świecie.

Fot. M. Fuks.

można było w tych dźwiękach także niezłomną wolę, niezłomną wiarę zgromadzonego ludu, że bliski jest już dzień zwycięstwa Sprawiedliwości i Prawdy!..

Uroczystości w Gazowni. Gazownia warszawska dodatnio wyróżnia się z pomiędzy innych zakładów przemysłowych doskonałym zorganizowaniem robotników. To też robotnicy osiągnęli tutaj cały szereg praw i przywilejów nieznanych zupełnie w innych fabrykach. — Prawa te swoje wyzyskują gazownicy w sposób szlachetny i godny uświadomionych robotników. Pierwszym staraniem było utworzenie placówki kulturalno-oświatowej, która dałaby robotnikom rozrywkę przyjemną, jak również naukę i uświadomienie. — Placówką tą stał się Klub Rob. Gazowni, mieszczący się we wspaniałym lokalu. W klubie tym wieczorem dnia 1 maja odbyło się przyjęcie pięknego czerwonego sztandaru robotników Gazowni, poprzedzone przez referat t. Zaremby o znaczeniu 1-go Maja i tow. Wencla o „Czerwonym Sztandarze“.

W uroczystym nastroju sali wzniesiono sztandar, który po raz pierwszy wyszedł dziś na czele robotników na ulicę.

Resztę wieczoru zapełniło przedstawienie amatorskiej miejscowej robotniczej trupy i następnie wesoła towarzyska zabawa.

Akad. Młodzieży Robotniczej. W klubie robotników Gazowni na Ludnej odbyła się wieczorem uroczysta Akademja (przy udziale około 200 osób) zorganizowana przez Zw. Polskiej Młodzieży Socjalistycznej.



Środek pochodu na Nowym Świecie.

<http://rcin.org.pl> Fot. M. Fuks.

NA PROWINCJI nie widziano nigdy jeszcze tak pięknych i imponujących manifestacji, jak tegoroczne majowe. Wszędzie panował imponujący spokój i powaga.

W niniejszym zeszycie podajemy fotografie z Kalisza, gdzie w dniu 1 maja odbyły się imponujące manifestacje proletariatu miejskiego i wiejskiego.

Robotnicy rolni z własnymi sztandarami przyłączyli się do manifestacji robotników miejskich. O wspólne walcząc ideały, te dwa szeregi klasy robotniczej stanowią już u nas nierozłączną całość.

W następnym zeszycie „Światła“ podamy zdjęcia z manifestacji majowych w innych miastach.



Trybuna mówców delegacji pochodowej podczas manifestacji 1 maja w Kaliszu.



Delegacja pochodu składa wieniec na grób zabitego towarzysza.

Fot. „Engel“, Kalisz.



Czoło pochodu P. P. S. w Kaliszu.

Fot. „Engel“, Kalisz.

Ironja losu.

Dr. T. Janiszewski, były minister zdrowia, twórca ustawy o ochronie lokatorów, naczelny lekarz miejski w Krakowie, docent Uniwersytetu Jagiellońskiego, nie mogąc dostać mieszkania dla swojej rodziny, złożonej z żony i z 7-ga dzieci, musiał zamieszkać w namiocie, znajdującym się na stacji kolejowej krakowskiej, a przeznaczonym na „odwyszalnię” dla zapobieżenia szerzeniu się chorób zakaźnych.

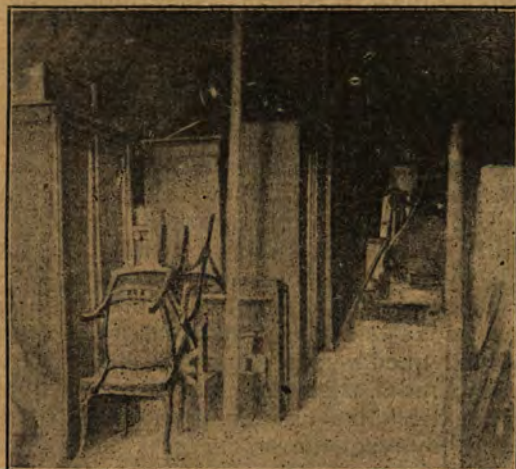
Ryciny przedstawiają namiot dr. Janiszewskiego, wystawiony pod Krakowem, porównywany z osławionym „wozem Drzymały” pod niegdyś pruskim panowaniem.



Dr. Janiszewski w swoim namiocie pod Krakowem.



Wejście do namiotu.



Wnętrze namiotu.

W SPRAWIE TEATRU ROBOTNICZEGO.

Przy końcu kwietnia odbyła się w Warszawie konferencja w sprawie Teatru Robotniczego. Zabierali kolejno głos trzej referanci: t. t. Jan Hempel, Antonina Sokolicz i ob. Edward Wodzicki (artysta teatru Reduta). Ze względu na ogromną wagę poruszanych kwestji podajemy streszczenie wszystkich trzech przemówień.

P. Hempel: znaczenie kultury artystycznej w ruchu robotniczym. Rewolucja socjalna, która przeorywa do dna układ społeczny zaznacza się niemiernie silnie w dziedzinie kultury artystycznej. Walka spo-

łeczna polega nietylko na zmaganiu się organizacji społecznych, ale i na zmaganiu się wartości kulturalnych. Proletariat, wchodzący w życie i przynoszący z sobą nowe hasła, musi wypowiedzieć swoje mocne słowo również i w życiu kulturalno artystycznym. Wielki styl, jako wyraz potrzeb, tkwiący w masach, rodzi się wtedy, gdy w życiu przyjmują udział najliczniejsze masy—przeżywamy właśnie taką chwilę. Z suteryn i poddaszy, zewsząd wypływa dziś potężną falą masa robotnicza i zajmuje wszystkie placówki: i te, gdzie wre praca i te, które są trybuną dla wypowiedzenia się. Taką trybuną jest w pierwszym rzędzie teatr. Do teatru wchodzi nowe życie z ulicy

jako wyraz i ujście dla tych pragnień i dążeń, które mi ulica żyje.

T. Sokolicz („Ideologia teatru proletarjackiego“) żąda, aby teatr proletarjacki stał się przeciwstawieniem teatru burżuazyjnego i ludowego, uważając pierwszy z nich jako przeżytek, drugi jako obniżenie poziomu sztuki. Tak zwany „teatr ludowy“ jest zupełnie tem samym, co teatr mieszczański z tą różnicą, że jest tańszy i gorszy. Ma on liche dekoracje, słabsze siły artystyczne, zatem musi dawać tandetę. Cena biletów i tak zwana kasowość sztuki przeważnie decyduje o jej wyborze. Dlatego teatr dzisiejszy ma raczej charakter przedsiębiorstwa jak służenia rzetelnemu pięknu i wskutek tego nie ma on żadnego wpływu. Publiczność jest przeważnie przygodna i traktuje teatr jako pewien rodzaj rozrywki towarzyskiej. Po widowni snuje się nuda i martwota. Teatr burżuazyjny przestał być czynnikiem społecznym.

Cofając się myślą w czasy zamierzchłe, widzimy, że teatr jako sztuka zbiorowa powstał z najczystszych źródeł uczucia. Dopiero potem pieniądz zdemoralizował go i zepchnął w błoto. Proletariat, posiadając w sobie wielki materiał dla tworzenia zbiorowego piękna — uratuje upadający teatr i zwróci mu skalaną godność czystej świątyni. Jako sztuka zbiorowa jest teatr najodpowiedniejszym terenem dla wypowiedzenia się proletariatu, który dąży do twórczości kolektywnej. Zarówno artyści, jak dekoratorzy i maszyniści — wszyscy, którzy pracują w teatrze, muszą być współtwórcami.

Ale jest to pieśń przyszłości. Narazie proletariatu musi troszczyć się o zdobycie terenu i placówki, oraz takich środków materialnych, któreby wykluczały charakter przedsiębiorstwa. Są jeszcze inne ważne trudności: brak właściwych sztuk i aktorów. Narazie niema odpowiedniego repertuaru, gdyż sztuk o ideologii proletarjackiej mamy bardzo mało. Należy przyswajając te dzieła z minionej epoki, w których występuje pierwiastek zbiorowy.

Nowy aktor, aktor teatru proletarjackiego, musi wyjść ze sfery proletariatu, musi wszystkie te czynniki mieć w sobie, aby dać im wyraz szczerzy i bezpośredni. Dlatego trzeba tworzyć studia proletarjackie, kółka amatorskie, a z tego źródła samorzutnie wytrysną nowe, twórcze siły. Ci wyjątkowi z artystów zawodowych, którzy zdolni są przejąć się sztuką proletarjacką, winni być instruktorami i reżyserami w nowo tworzącym się teatrze. Proletariat musi stworzyć nowe ośrodki twórcze i postawić je pod względem wartości na tem samym poziomie, co kooperatywy i związki zawodowe.

Ob. Wodzicki („Na jakich podstawach oprzeć można w obecnych warunkach budowę teatru proletarjackiego“) opiera zasadę teatru na pewnem naśladownictwie życia przyrody. Jako sztuka masowa, teatr powinien do pewnego stopnia być odbiciem gromadzkiego życia zwierząt i w swoich artystycznych poczynaniach iść po wskazówki do przyrody, powinien uczyć bronić się, walczyć i napadać. W każdej gromadzie przeważa instynkt samozachowawczy i organizacyjny. Gromada ludzka wydaje z siebie pewne zapotrzebowania, z gromady wyłaniają się jednostki, które tym pragnieniem dadzą wyraz. Scena jest tutaj trybuną, a teatr proletarjacki będzie pierwszorzędnym orężem w walce, a jako naczelne hasło stawia miłość bliźniego.

Po skończonych referatach w dyskusji przemawiał tylko T. Drzewiecki i przemówienie to podkreślał, gdyż miało podkład szerszy, nie zacieśniający się w zakreślonych i zamkniętych ramkach. Żadnych ograniczeń, żadnych wskazań. Twórczość artystyczna nie uznaje żadnych programów ani zgóry narzuconych haseł. Ona ma pęd żywiołowy, samorzutny. Spieniona nurty nie pytają o drogę, idą jak burza niepowstrzymaną siłą, a wszelkie zapory unoszą z sobą i niweczą.

W przyszłym zeszycie podamy sprawozdanie z następnych konferencji i ocenę ich wyników.

W. H.

SCENA I LUTNIA ROBOTNICZA.

Tajga szumi. Obrazek dramatyczny z życia zesłańców syberyjskich w I akcie Anny Saksagońskiej tłum. z rosyj. Antonina Sokolicz.

Tajga szumi... Szamocząc się rozpaczliwie z losem, zagubiona w przeklętym zakątku syberji, garść wygnańców. Zamiast tysiąca głosów radosnych, które mi natura rozmawia z człowiekiem—wyją wilki i gorsza od nich wyje tajga. Gromadka zesłańców żyje wspólnemi troskami, wspólną za krajem tęsknotą, nadzieją powrotu. Zdawałoby się, że próżne te nadzieje, gdy oto pada wiadomość wstrząsająca: Rewolucja w Rosji, są wolni, wolni...

Krótki ten i prosty obrazek napisany został przez robotnicę, która umiała zrozumieć i wczuć się w cierpienia inteligentów zesłańców i im poświęciła swą pracę.

Artyści grali inteligentnie, ale widocznie nie obznajmieni z akustyką sceny nie umieli dostosować skali głosów do wielkości sali.

Miłosierdzie ludzkie. dramat w I akcie Nowaczyńskiego.

Dramat swój Nowaczyński przerobił z nowelki Konopnickiej p. t. „Miłosierdzie Gminy“. Wrażenie odniosłam niezwykłe i przekonałam się, że amatorzy mogą niektóre utwory zagrać lepiej i silniej od artystów fachowców. Obraz był wyrwany ze sfery ich pojęć, zwyczajów, ruszali się więc swobodnie byli u siebie, nie potrzebowali mówić językiem sztucznym nieznanym sobie pojęć.

W Szwajcarii prawo zabrania żebractwa. Gmina wykreśliła żebractwo, a na jego miejscu postawiła wzniosły fałsz: „miłosierdzie“. Gdy biedak staje u progu starości wyczerpany z sił i zdrowia „miłosierdzie“ gminy wystawia go na licytację. Kto poda cenę najtańszą, temu gmina przysądzi na zawsze skażać, który żarna pracy obracać będzie tak długo, póki go nie wyzwoli Władczyni łaskawa — śmierć. Oto odbywa się licytacja. Wchodzą obywatele mieściny: rymarz, kotlarz, powroźnik, plekarz, mleczarz, ogrodnik. Każdy z przybyszów potrzebuje „towaru“. Chodzi tylko o to, aby go najtańiej i najzyskowniej kupić. Wprowadzają człowieka. Niel widmo człowieka, szkielec o sterczących kościach, obciążony skórą. Na twarzy ani kropli krwi; ręce i kolana drżą. Nie darmo przepracował 74 lata swego życia. Urządzenia społeczne skazują go na dożywotnią pracę u ludzi twardych i wyrachowanych. A przecież wszyscy ci bezlitośni ludzie, którzy kupczą żywym towarem i drwinami jak biczem smagają nieszczęsnego starca, może są nawet w gruncie niezłi; nie mogli przecież zatracić wszystkich cech ludzkich, tylko interes i chęć zysku zagłuszyły w nich lepsze instynkty.

Jak nadmieniałam wyżej sztuka zagrana była bez zarzutu z odczuciem, prawdą i szczerością. Dział koncertowy, jak i inne działy programu dobrze wszechstronnie i starannie.

Hallna Wilczyńska.

Z WYDAWNICTW.

„OŚWIATA” № 1—10. — Frysztat — Warszawa 1919 — 2) r. Pismo młodzieży robotniczej. W bylej Kongresowce rozwijał się i rozwija silnie ruch młodzieży inteligienckiej, — młodzież robotnicza nie znalazła swej organizacji, nie wytworzyła zdecydowanych sposobów jednoczenia się i pracy. Nie znamy też silniejszych organizacji młodocianych robotników w Małopolsce i Poznańskiem. Tylko na Śląsku Cieszyńskiem ta strona pracy nad podniesieniem poziomu kulturalnego — jest należycie postawiona. Młodzież robotnicza posiada tu swoje własne organizacje samokształceniowe, grupuje się w nich, pracuje wspólnie, używa godziwych rozrywek i stwarza atmosferę, przesiąknęłą ukochaniem prawdy i ideał wyzwoleńca.

W atmosferze takiej wychowują się dzielni, inteligentni i zasobni w wiedzę robotnicy-działacze.

Organizacja ta to „Siła” — organem jej „Oświata”, — wychodząca co miesiąc. 10 zeszytów „Oświaty”, które leżą przedemną, dają możność oceny, czem jest i co daje „Siła” swoim członkom.

Wydaje mi się, iż cały ruch młodzieży robotniczej musi pójść po tej linii, którą nakreśliła w swym rozwoju „Siła”. Dlatego też podaję za jednym z autorów, piszących w „Oświacie” — parę dat, dotyczących tego stowarzyszenia.

„Siła” — powstała w 1908 roku, jako zrzeszenie się różnych drobnych organizacji młodzieży robotniczej. Przez 10 lat, wśród których były i straszne lata wojny — „Siła” przechodziła różne koleje i w roku 1913 — zwołała zjazd wszystkich przedstawicieli kół miejscowych, który to zjazd dokonał ostatecznego utwierdzenia organizacji i określił kierunek prac oraz ich charakter. Posiadała już wówczas „Siła” 15 filij, a nawet własne kapele, kinematograf i kilka kół dramatycznych.

Słusznie i ciekawie formuluje „Oświata” stosunek „Siły” do partji politycznych, do ruchu narodowego i t. d.

„Ręka w rękę z organizacją walczącą (t. j. partją socjalistyczną) winna iść organizacja inna, kulturalna, która ma być regulatorem namiętności przemijających. Potrzebna jest potężna, scentralizowana organizacja oświatowa, idąca ręką w rękę z partją”.

Przyjęcie tych postulatów ułatwiło organizacji pracę. Nie przeciwstawiła się ona partji, ani nie zechciała wziąć na siebie niewdzięcznej i nieodpowiedniej roli mentorki w stosunku do partji politycznej — to też nie rozsadzają jej wewnętrzne sprzeczności i praca idzie pożytecznie i sprawnie.

W sprawach narodowych, tak zaostrzonych na Śląsku — „Siła” również zajęła bardzo korzystne stanowisko, bowiem powiada jasno:

„Zrozumieliśmy, że uświadomienie można osiągnąć jedynie drogą oświaty, to znaczy zapomocą zgromadzeń, odczytów, gazet, książek oraz teatrów amatorskich. Jeśli zaś powyższe środki mają nas prowadzić skutecznie do celu, muszą być one podane robotnikowi w takiej formie i w takim języku, aby forma była przystępna, a język zrozumiały.

Staliśmy i stoimy na tem stanowisku, że nasze organizacje robotnicze, mimo zasad międzynarodowych, winne mieć charakter polski.

Swoje zadania oświatowe formuluje „Oświata” w sposób następujący:

„Praca oświatowa musi objąć całokształt życia społeczno-naukowego. Zadaniem naszym omawiać sprawy naukowe, jak literatura, historia, język, wychowanie, szkolnictwo.

Chcemy dawać wskazówki do pracy samokształceniowej.

Będziemy dawali inicjatywę i wskazówki co do prowadzenia teatrów.

Zajmiemy się sprawą organizacji centralnej Biblioteki na Śląsku.

Widzimy z tego, jak obfite zadania stawiają przed sobą Siłacze. Dotychczasowa ich praca pozwala sądzić, że będą one wykonane.

Od czasów zjazdu Kulturalno Oświatowego P. P. S. (listopad 1919 r.) „Oświata” została uznana za organ centralny W-u i polecono tworzyć w całej Polsce organizacje młodzieży robotniczej na zasadach śląskiej „Siły”.

Trzeba, by jaknajrychlej uchwała ta przeszła w życie.

A teraz kilka słów o samym piśmie. Redagowane jest żywo i dobrze. Widać dążenie do dania czytelnikom, prócz artykułów o charakterze organizacyjnym, strawę naukową i literacką. Spotykamy więc tutaj — ciekawe prace, dotyczące życia kulturalnego klasy robotniczej (wśród nich bardzo ciekawy artykuł J. Hempla, p. t. „Kultura Proletarjacka”); — pogadanki przyrodnicze („Świat niewidzialny jako wróg człowieka”. R. K.), społeczne („Czasy przedkapitałistyczne” — A. Bączka), artykuły ideowe, rozszerzające i wzmacniające światopogląd — historyczne i t. d.

Wobec tego należy życzyć „Oświacie”, by dotarła do jaknajszerszych kół młodzieży robotniczej i wszędzie budziła do życia „Siłę”.

A. C.

Adres: Warszawa, Warecka 7. Frysztat, Rynek 1—24.

NADESŁANE.

TESTAMENT PROF. JANISZEWSKIEGO. Cicho i niepostrzeżenie przechodzą w społeczeństwie dzisiejszem jednostki o głębszej duszy i wielkiem sercu, ci, co ideały ludzkości czynem i życiem własnym wyznają.

Prof. Zygmunt Janiszewski, zmarły we Lwowie dn. 3 stycznia r. b., znany był w szerokim świecie naukowym, jako jeden z najwybitniejszych matematyków polskich, lecz życie Jego, życie człowieka, który wszystko, czem rozporządzał, nawet samego siebie, uważał zawsze za własność społeczną, było nieznanne lub nierozumiane.

Od lat uniwersyteckich począwszy, aż do ostatnich dni, realizował ś. p. prof. Janiszewski drugą, obok pracy naukowej, główną ideę swego życia: niesienie pomocy bezpośredniej, moralnej i materialnej jednostkom wybitniejszym.

Wyrazem tych dążeń zmarłego jest Jego testament (pisany w Klarysewie dn. 6 kwietnia 1919 r.). Cały swój, dość znaczny, majątek (z wyjątkiem sumy 8,000 mk. p., zapisanej bezpośrednio koledze gimnazjalnemu), zapisuje na kształcenie, lub popiekanie jednostek wybitnie zdolnych, lub na prace teoretyczne, mając na celu udoskonalanie szkolnictwa do rozporządzenia w połowie tow. Franciszkowi Ksaweremu Prausowski (Zakopane, willa „Marynówka”), w połowie zaś Kazimierzowi Kornilowiczowi (Warszawa, Langnerowska 23 m. 17).

„Ciało swoje — czytamy dalej w testamencie — zapisuję prosektorjum uniwersyteckiemu — niech do ostatka będzie pożyteczny. W szczególności mózg i czaszke ewentualnemu badaczowi, dia którego prac stanowiąby materiał. Chcę przytem stwierdzić przez to, że nie dzielę ludzkości na kategorie, wyjętą poza nawias, którą można używać w prosektorjum i na szanownych obywateli, którym się należy pogrzeb i grób...”

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE

„ŚWIATŁO”

Jest Towarzystwem udziałowem, zadaniem którego jest dostarczanie środków finansowych na wydawanie naszego Tygodnika, oraz wydawnictw poświęconych podniesieniu kulturalnego poziomu polskich mas ludowych.

UDZIAŁ 100 MAREK.

Kto pragnie rozwoju kultury w masach ludowych winien się zapisać na udziałowca.

Adres Towarzystwa: WARSZAWA, WSPÓLNA 17, w lokalu Administracji „Światła“.

Na żądanie przesyła się przekazy na wpłacenie udziału w najbliższym oddziale pocztowym.

Z przyczyn niezależnych od Organizatorów Pierwsze Walne Zebranie Organizac. zostaje odłożone na niedzielę, 30 maja.

Obecność każdego udziałowca jest na Zebraniu Organizacyjnym konieczna. O ile nie może być sam, musi przysłać zalegalizowane pełnomocnictwo — dla zastępowania go — innemu członkowi Tow. Wydawn. „Światło“.

O miejscu i godzinie Zebrania zawiadomimy osobno.

OD WYDAWNICTWA. Poczynając od zeszytu niniejszego, wskutek braku papieru i ogromnego wzrostu kosztów wydawniczych, zmuszeni jesteśmy przez pewien czas wydawać tygodnik „Światło“ w zeszytach podwójnych raz na dwa tygodnie.

Cena podwójnego zeszytu: mk. 10, miesięcznie mk. 20, za I półrocze (od lutego do lipca) mk. 100. Prenumeratorzy, którzy wnieśli opłatę za I półrocze, otrzymają bezpłatnie reprodukcję artystyczną jednego z obrazów, zamieszczonych w „Świecie“. Wybór obrazu uczyniony będzie na podstawie głosowania wszystkich czytelników naszego tygodnika. Bliższe szczegóły podane zostaną w zeszycie następnym.

Przepraszając Szan. Czytelników za kilkakrotne, niezależne od naszej woli, zmiany warunków prenumeraty, prosimy o szybkie uregulowanie opłaty za I półrocze.

W Administracji miesięcznie mk. 12. Konto czekowe P. K. O. № 798.

CENY OGŁOSZEŃ: Za jednoszpaltowy wiersz petitu lub jego miejsce: Na okładce: 2-ga i 3-cia str. — 6 mk.; 4-ta str. 5 mk. Na ostatniej stronie tekstu (tylko książki i wydawnictwa) 5 mk. Za całą stronicę 150 wierszy — 20% taniej.

ADRES: REDAKCJI POLNA № 66, MIESZK. 54; **ADMINISTRACJI WSPÓLNA 17.**

Redakcja otwarta codziennie od 5 — 6 wiecz. — Administracja czynna codziennie od 10—4 pp.

REDAKCJA: JAN HEMPEL, JAN REMBOWSKI, JERZY SOCHACKI, ANDRZEJ STRUG, ZYGMUNT ZAREMBA.

Redaktor i Wydawca: Z. ZAREMBA. **Kierownik literacki** ANDRZEJ STRUG. **Kierownik art.** JAN REMBOWSKI.